Przyjaciel Ludu.

ROK DZIEWIĄTY. **No. 5.** Leszno, *dnia* 30. *Lipca* 1842.



Kasper Bekiesz.

Kasper Bekiesz.

Polska, oddawna schronieniem będąc ludzi opuszczających ziemię swoję rodzinną, w szesnastém szczególniéj stuleciu przyjmowała na łono swoje szukających u niéj szczęścia i pokoju dla siebie. Tak przybyła do Polski za panowania Stefana Batorego z Węgier rodzina Bekieszów, z których jednego, imieniem Kaspra, rycina wyjęta z trzeciego tomu Historyi Wilna J. J. Kraszewskiego wystawia. Rodzina Bekieszów zamożna, stała w ziemi siedmiogrodzkiéj na czele stronnictwa współubiegają-

cego się z Stefanem Batorym o tron książęcy. Pomimo wszelkich starań i zabiegów niemogła jednakże przeszkodzić elekcyi Stefana, po którego wyniesieniu, obawiając się zemsty, opuściwszy dobra swoje, w obcych krajach szukała schronienia. Sprzykrzywszy je sobie nakoniec, powróciło dwóch braci Bekieszów, Kasper i Gabrjel, do Polski, u dawnego swego rywala prosząc o przebaczenie, a ofiarując swoje usługi. Wielka dusza Batorego nie znała zemsty; przyjął Król tułaczów uprzejmie, a znając ich zdatności niepospolite, Kasprowi dowództwo nad piechotą węgierską oddał, Gabrjelowi jazdę, z żołnierza tegoż narodu złożoną, powierzywszy. Obydwaj bracia stali się godnymi łask królewskich, dawszy liczne dowody wierności i poświęcenia. Kasper Bekiesz przeżył brata swego, w czasie oblężenia Pskowa poległego; lubiony od Króla, umiał sobie zjednać serce wielkiego Zamojskiego, chociaż był dumnym, porywczym i chciwym zaszczytów. Znane są w dziejach polskich biegłemu zatargi jego z Hetmanem Mieleckim na polu nasamprzód wszczęte, później w obec samego Króla wznawiane.

Oprócz wypraw pod okiem Króla Stefana odbytych, wyprawiony był Bekiesz w r. 1577. na odsiecz Elblągowi przeciw Gdańszczanom. W lat trzy po téj wyprawie zakończył życie swoje w Grodnie, oddawszy syna i synowca swego opiece Króla i przyjaźni Zamojskiego. Trzymał się Bekiesz nauki Socyna, dla czego, gdy ciało jego do Wilna sprowadzone, złożono je nad rzeką Wilenką, na wierzchu piaszczystéj góry, która dotychczas Bekieszówki nosi miano. (*)

Syn Kaspra, Władysław, przypuszczony do indygenatu w r. 1593., był Starostą wschowskim, dworzaninem i rotmistrzem królewskim; stawał mężnie u Byczyny, gdzie w kark i w rękę zraniony został. W Węgrzech z ochotnikami z chwałą odbył wyprawę, gdzie w jedném spotkaniu szczęśliwie Turków poraził, i 49. wielbłądów i mułów obciążonych zdobyczą, do obozu sprowadził. Jako pulkownik węgierskiego pulku, z ludem swym Zygmunta III. roku 1598. do Szwecyi odprowadził. Wysiadłszy z okrętów, wojsko swe pod Stekenburgiem rozłożył, tak, iż gotowe było do spotkania się, gdyby Karól Suderman z żołnierzem nastąpił. Jakoż w dni kilka przybył. Zaczęły się harce, a gdy te pomyślnie się Węgrom udały, ruszył naprzód z całym pułkiem swym Bekiesz, i byłby zniósł zupełnie Szwedów, gdyby niedano znaku do odwrotu. Przybiega Bekiesz do Króla, niosąc głowę Szweda na kopii: „Pozwól N. Panie dokonać sprawy dobrze zaczętéj.“ Król rozgniewany: „Dosyć już na tém,“ rzekł, „wszakże wszystkich Szwedów nie wybijesz?“ Później posłany Bekiesz na załogę do Kolmaru, twierdzy najmniéj nie opatrzonéj, poddać się musiał Szwedom; uwolniony przez zamianę za Szwedów przy Zygmuncie będących. W wojnie wołoskiéj w r. 1600. wiele dopomógł J. Zamojskiemu do zwycięztwa odniesionego nad Hospodarem Michałem. Z nim zgasła rodzina Bekieszów w Polsce.

(*, Zob. P. L. r. V. T. 2. N. 44. str. 345.

Rys życia Jana hrabiego Tarnowskiego.

Doszła nas przed miesiącem smutna wiadomość o śmierci Jana Felixa hrabiego Amor Tarnowskiego, byłego senatora kasztelana królestwa polskiego, orderów Śgo Stanisława i Śtéj Anny 1széj klassy kawalera. Od kilku miesięcy nieuleczoną tknięty niemocą, wszedł do grobu na dniu 3. Maja r. b. w 65. roku życia, w dobrach swoich Dzikowie w Galicyi, w starodawném przodków swoich dziedzictwie. Strata jego należy pod wielu względami do liczby tych, jakie żałosną koleją ponieśliśmy w Tadeuszu Czackim, Józefie Maxymilianie Ossolińskim, Stanisławie Potockim, Woroniczu, Staszicu, Śniadeckich i podobnych im mężach, którzy stawszy się kraju i literatury narodowéj ozdobą, umieli pamięć swoję uczynić chlubną u współczesnych, drogą i trwałą u przyszłych pokoleń. Potomek starożytnego i wsławionego w dziejach rodu Tarnowskich, wnuk Stanisława Małachowskiego, referendarza koronnego i marszałka sławnego sejmu, siostrzeniec Tadeusza Czackiego, nie mógł, a raczéj niechciał być innym jak do nich podobnym; urodzony w nieprzyjaznych cnotom narodowym czasach, z tego względu mógł się zwać szczęśliwym, że nie tylko na kartach dziejów w znakomitych przodkach, ale i w żyjącéj rodu swego starszyznie wpatrywał się w ślachetne i zacne wzory, i, że tak powiem, pod ich strażą się wychował i kształcił.

Ojciec jego, Jan Jacek Kochonlicki, starosta, z cnót obywatelskich powszechnie ceniony i przeto znaczący, że znaczyć nie chciał: Matka Rozalia z Czackich, podczaszanka koronna, pobożnością i wzorowemi cnotami znamienita, wlali w niego ze krwią, a przykładem od samego dzieciństwa natchnęli i rozwinęli w nim zamiłowanie tego wszystkiego, co jest zacném, ślachetném i piękném i co stanowi rzetelną wartość człowieka do społeczeństwa przeznaczonego. Wuj, Tadeusz Czacki, spostrzegłszy w młodzieńcu najpiękniejsze skłonności, żywy i żądzą nauki pałający umysł, serce do celowania pochopne, widząc, iż te ślachetnie gorejące w nim chęci, pamięcią zasług przodków podsycone, hamulca raczéj niż popędu wymagały, sam się jego wychowaniem zatrudnił, sam zdolnymi mistrzami i nauczycielami otoczył, przy sobie w Warszawie umieścił, i mimo zatrudnień publicznych, sam nad obyczajami, skłonnościami i nauką czuwał. Od niego on powziął to zami-

łowanie i upodobanie w dziejach i literaturze narodowéj, w których Czacki tak nad innymi górował, a w których potém naśladując go siostrzeniec, szedł z wujem w zawody.

Księża: Lachoski, Antoniewicz, oświecony exbazylian, prefekt szkół włodzimierskich i Kopczyński pijar, grammatyk, każdy w swoim zawodzie pod kierunkiem Tadeusza Czackiego, byli jego nauczycielami i przewodnikami. Feliński i Wyszkowski, dodanymi towarzyszami i przyjaciołmi! Oni wśród stolicy, pod ów czas świetnéj zabawami, i rozlicznych towarzystw pełnéj, strzegli młody umysł ucznia, aby nowego, a zatém łatwo wszelkim wrażeniom przystępnego serca, ani duma urodzenia nie skaziła, ani nowe i zgubne o religii i towarzyskim porządku wyobrażenia nie wsączyły w nie trucizny.

Dom Stanisława Małachowskiego, marszałka sejmu, gdzie się pod ów czas wszystkie z rozmaitych praw znakomitości, pod godłem obywatelskiéj równości zgromadzały, i gdzie wszystkie różnice prócz wieku, cnoty i zasługi nikły, był pod tym względem dla młodego jego wnuka praktyczną szkołą.

Posiedzenia sejmowe, gdzie się przysłuchiwał walce przesądów z oświeceniem, cnoty z zbrodnią, występnych namiętności z szlachetnym zapałem, przedstawiały mu widownie publicznego życia i użyczały przestróg i wprawy. Biblioteka Załuskich, w któréj prawie przemieszkiwał, była niewyczerpanem nauki źródłem.

Gdy burza wojenna r. 1792. sejmujących za granicę kraju rozproszyła, Tarnowski, ledwie lat piętnaście liczący, wrócił do rodzinnego domu, z przerwaném wprawdzie pasmem nauk, już przecież ze znakomitym pożytkiem. Tam pod okiem rodziców i dobranych mistrzów, zawsze jednak pod wpływem Tadeusza Czackiego, kończył nauki i wychowanie.

Dzików, rodzinne Tarnowskich gniazdo, znane w dziejach krajowych, w powabném nad brzegiem Wisły położeniu, obdarzone od natury uroczemi widokami, w obszernéj sąsiedzkiéj okolicy, słynęło bogatym zbiorem drzew, krzewów i roślin z pod obcego nieba, szczęśliwie téj nadobnéj ustroni przyswojonych. Rodzice zamiłowani w tych powabnych darach przyrodzenia, umieli całą swoję młodą rodzinę natchnąć niewinnym i szlachetnym smakiem zawsze odradzających się piękności. Młody Tarnowski bądź z przyrodzonéj skłonności, bądź z szlachetnéj chęci podobania się Rodzicom, zapuścił ciekawy a chciwy rozlicznéj nauki umysł w niewyczerpane tajemnic i tworów natury państwo, a w krótce nauka Lineusza i Syreniusza stała się dla niego ulubionym przedmiotem i zatrudnieniem.

Wsparty rzadką pamięcią, zadziwiał znajomością niezliczonych darów natury i jako biegły botanik rozmnażać je umiał i lubił.

Ileż mu ta nauka, to obcowanie i zaprzyjaźnienie z tymi świadkami, stróżami i towarzyszami wiejskiego, a przeto swobodnego życia, w wieku rozwijających się namiętności nie oszczędziło usterków? ileż mu w późniejszym nie zjednało pociech i roskoszy? Niezaprzeczoną jest rzeczą, że w wychowaniu młodzieży bezpieczniéj i korzystniéj jest wprzód obeznawać młode serca z mistrzynią szczęścia i swobody, jak z niepojętnymi jéj szkoły uczniami, lub z niéj niebacznymi zbiegami, mam mówić raczéj, z naturą niż z ludźmi. Przestawanie z pierwszą, wrażając głęboko niewinne uczucie i smak prawdziwéj piękności, daje razem ochronę od zepsucia, zawczesne obcowanie z drugimi, częstokroć wprzód kazi niż wykształca.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Pielgrzymka młodego Polaka z Bonn do Szwajcaryi r. 1841.

(Dalszy ciąg.)

Rozdział V.

Lucern. Jezioro czterech miast. Grütli. Droga Gotthardа.

Dwie wiodą ścieszki do Kyssnacht, do kraju, gdzie Tell swe życie pędził; zaledwo zejdziesz w dolinę, stoi nade drogą kaplica, z napisem:

Geßler's Hochmuth Tell erschossen,
Und die edle Schweizerfreiheit entsprossen;
Wie lange wird sie noch wehren?
Noch lange, wenn wir die Alten wären.

Prawdziwe zdanie! W kaplicy pobożni modlą się pielgrzymi, a w album, co zamiast mszału leży na ołtarzu, każdy obcy swe zapisuje nazwisko, na pamiątkę, że miejsce to, dla Szwajcarów święte, zwiedzał. Obok kaplicy wąwóz dawniéj, dziś droga zwirowa, orzechowém ocieniona drzewem, gdzie Tell śmiertelną ugodził tyrana strzałą. W bliskości na wzgórzu pusta stoi wieżyca, dawniéj zamek zarządcy cesarskiego; daléj nad jeziorem cztérech miast ruiny zamków Habsburg i Leburg, a za borkiem w dolinie ujrzysz wieże stolicy Lucern. Sławny tutaj pomnik niżeli do miasta wejdziesz zwiedź, stawiony na pamiątkęległych przy wzięciu Tuilleriów roku 1792. Szwajcarów; podług modelu Thorwaldsena wykuł w skale mezzo-relief, Szwajcar Łukasz Ahorn. Miejsce bardzo piękne w ogrodzie pułkownika Pfeiffra; ściana skalista prostopadle sterczy nad wodą, w około stare dęby, a na skale pomnik wykuty. Lew olbrzymiéj wielkości, wskróś dzirytem przeszyty, leży, broniąc puklerza, ozdobnego herbem Francyi; lew konający, łapa jedna, jakby martwa, zwieszona, paszczęka rozwarta, złość i rozpacz w twarzy, że tak marnie ginie, obok niego leży broń Szwajcarów, a nad nim napis:

Virtuti et fidei Helvetiorum.

Grobowa cisza otacza ten smutny pomnik, a żołnierz stary, co uszedł téj rzezi, upowiada ob-



Widok miasta Zürich.

cym wypadek i tłumaczy znaczenie pomnika. — Ztąd wiedzie droga do miasta przez dwa mosty, znane w całéj Szwajcaryi z swych obrazów. Mosty długie, drewniane, wąskie, pokryte, a w szczytach widzisz obrazy z pisma świętego i z historyi krajowéj, mające służyć na to, aby dzieci od młodości widząc obrazy, historyą narodową sobie wpajały, a zarazem na świetnych przodków wzorach siłę moralną staliły. Z wieczora parowym statkiem puścilismy się daléj. Jezioro czterech miast (Vierwaldstädter-See) rozpościera się niżéj miasta i rozséła swe odnogi pomiędzy niebotyczne Alpy, rozpierając skaliste góry. Koło Lucern piękne są brzegi, wesołe wioski, domki gustowne ożywiają okolicę; lecz daléj leży góra Piłata, co w obłokach swe kryje czoło, z drugiéj strony Rigi. Brzegi coraz dziksze, góry się piętrzą, a jakby w kotłach leżą piękne wioski, niedostępne od strony lądu. Koło Brunnen łódka przyjęła podróżnych, co tu, chcąc ujść drogości w Fluelen, nocują. Skoro przybiliśmy do lądu, młodzież z łukiem Tella wierszem powitawszy przychodniów, dała dowód swéj zgrabności; chłopczyk mały wystrzelił z łuku i strzała ani o włos celu nie chybiła. Cisza głęboka w wiosce; usiadłem na skale nad jeziorem, mrok rozlał się nad dziką przyrodą; jezioro było spokojne, tylko raz po raz o skałę odbijały się wody; czarne Alpy do koła zdawały się nas zupełnie od świata odgraniczać. Wysoko na górach, jak orły swe gniazda, tak alpejski pasterz do skały przyczepił swą strzechę, a światło w chacie jak gwiazda na niebie świeci. Wieczorne dzwony żałobne jęki szerzą po jeziorze, a ja dumając w téj ciszy, Hugona powtarzałem słowa:

„Ce fut d'abord un bruit large, immense, confus,
„Plus vague que le vent dans les arbres touffus,
„Pleins d'accords éclatans, de suaves murmures,
„Doux comme un chant du soir, fort comme un choc d'armures.
„Quand la sourde mêlée étreint les escadrons,
„Et souffle, furieuse, aux bouche des clairons.
„C'etait une musique ineffable et profonde,
„Qui, fluide, oscillait sans cesse autour du monde,
„Et dans les vastes cieux, par ses flots rejeunis,
„Roulait élargissant ses orbes infinis,
„Jusqu'au fond où son flux s'allait perdre dans l'ombre!
„Avec le temps, l'espace et la forme et le nombre,
„Comme une autre atmosphère épars et débordé,
„L'hymne éternel couvrait tout le globe inondé.
„Le monde enveloppé dans cette symphonie,



Most djabelski.

„Comme il vogue dans l'air, voguait dans l'harmonie.
„Et pensif, j'écoutais ces harpes de l'éther,
„Perdu dans cette voix comme dans une mer.
Les feuilles d'automne.

Nazajutrz młodzian na lekkiém przewiózł nas czołenku na miejsce, pomne sprzysiężeniem się obywateli Szwajcaryi na zgubę ciemiężców, oto sławny Grütli. Łąka świeża, zewsząd skalistemi otoczona góry, z przodku jezioro, jest miejscem pielgrzymki każdego Szwajcara. Tam, gdzie trzej mężowie podnieśli rękę na zagładę tyrana, trzy wytrysły źródła i płyną po dziś dzień, a każdy Szwajcar idzie, aby pić z krynicy wolności. Pasterz strzeże tego źródła, a mała dziewczyna powita grzecznie każdego obcego i da mu różę lub inny kwiatek na pamiątkę. Nie pomnik ze spiżu, ani z marmuru, pamięć ludu, wdzięczność ziomków w pieśniach i powieściach przechowała imiona swych oswobodzicieli, dla przyszłości. Ztąd udaliśmy się do kaplicy Tella, zbudowanéj na skale, gdzie podczas burzy wyskoczył z czołna i uszedł śmierci; na pamiątkę tego zdarzenia corocznie odbywa się do téj kaplicy processya na czółnach. Odtąd każdy niemal krok oznaczony powieściami o Tellu, a każde dziecko zna swego bohatera. W Altdorf na rynku stoi wieża, w miejscu, gdzie Tell jabłko z głowy własnego zestrzelił dziecka. W Bürglen na wzgórzu, obok kościoła, stoi w miejscu, gdzie strzecha by-

ła Tella, kapliczka, a zegar nad ołtarzem wskazuje na jedno z napisem: „*Bracia, to niech waszem będzie godłem!*“ Daléj za wsią na górce widać ruiny zamku Attinghausen; tu zbliża się droga do rzeki Reuss, co jéj aż do szczytu Ś. Gottharda towarzyszy. Dolina wąska, wioski częste, lud wesoły, wszędzie po wsiach ćwiczą się w strzelaniu, aby kozę alpejską w biegu ugodzić, a w potrzebie i ojczyznie się przysłużyć. Droga wije się pomiędzy góry, rzeka coraz bystrzéj płynie; okolice coraz dziksze, tylko częste domy zajezdne świadczą o życiu ludzkiem, droga się kręci raz na lewym, raz na prawym rzeki brzegu. W miejscu, gdzie między skały zcieśniona woda z rykiem się tłoczy, a most, *Pfaffensprung* zwany, nad przepaścią wisi, tam wieść niesie, że zakonnik, uwiódłszy dziewicę, uciekając przed goniącym rycerzem, przeskoczył na drugą stronę i bezkarnie uszedł. Bez ustanku nagie skały, *Szelliny* zwane, nas otaczają; w krótce ujrzysz przed sobą podwójny most, niżéj stary, górą nowy, nadludzką zbudowany ręką i dla tego *djabła most* (Teufelsbrücke) zwany. Z obydwóch stron skały, a do nich most przyczepiony, jak kiedy jaskółka do ściany gniazdo przyklei, wiedzie przez przepaść, gdzie się mącą nurty Reuss, co tutaj wspaniały tworzy wodospad. W około dzicz niesłychana, droga prowadzi daléj przez galeryą wykutą w skale; nagle zmienia się obraz. Szeroka dolina, Ursererthal, wioski liczne, łąki zielone, góry nie zbyt wysokie, nawet lasek rośnie, Reuss jak najspokojniéj płynie, po za górami, jakby nie śmiało wyglądują szczyty nagie gór śnieżnych. Cichość, pokój, lenistwo panuje w dolinie; tu pożegnawszy drogę, co do włoskiéj zmierza krainy, puściliśmy się na zachód ku Alpom Bernu przez Hospesthal. Czarne obłoki wisiały nad górami, parno i duszno; w Hospesthal gospodarz przestrzegał nas, że burzy nie ujdziemy; my rozumiejąc, że chciwość karczmarza nas chce ułudzić, bez obawy spieszyliśmy na noc do hospitium Kapucynów w Realp. Ciemno straszliwie, błysło, a tysiączne echa grzmotu odezwały się; grom zdawał się zdruzgotywać gór szczyty; w tém rozwarły się nieba strumieniem, deszcz lał jak z wiadra. Noc ciemna, światło się ukazało i świateł więcéj; spieszymy do portu, wkrótce stoimy przede drzwiami, stukamy, ojciec otworzył, powitał i do czystéj wprowadził komnaty. Błysk coraz się powtarza, grzmot coraz okropniejszy; dwie niewiasty modliły się przed krzyzem, ojciec opowiadał różne wypadki; tymczasem do wieczerzy przygotowano. Ojciec mówił modlitwę, wtém silnie ktoś zapukał we drzwi i silniéj jeszcze szarpnął za dzwonek, wybiegliśmy, otworzono drzwi, mężczyzna blady na wpół zemdlałą trzymał kobietę; wszedł, łamaną francuzczyzną prosił o pokój; my natychmiast naszego odstąpili i pomogli damę wprowadzić na górę. Był to Anglik, który mniemając przed wieczorem stanąć w gospodzie, puścił się na góry; tam go zaskoczyła burza i noc; w téj ciemności przeprawił się przez przepaści koło Furki, góry, i tylko świadomemu drogi przewodnikowi życie zawdzięcza. Koło północy burza ustała; nazajutrz o godzinie piątéj rannéj dzwonek zwołał wszystkich na Mszą do kaplicy. Ranek był pogodny, zakonnik jednakże prorokował deszcz; po smacznem śniadaniu i odebraném błogosławieństwie, puściliśmy się w dalszą podróż.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Rzecz o dylettantyzmie literackim, czytana na posiedzeniu literackiém w Gostyniu d. 7. Maja 1842.

(Dokończenie.)

To więc jest pole naszego zawodu, bo nam najbliższe, bo otaczające nas w koło, a obfite i nietknięte; z niego tylko brać, garnąć pełnemi rękoma, co sam Bóg przed nami rozsiał, co dawne czasy uroniły, co gminnym ustom powierzyła przeszłość. To nasze stanowisko bezpośrednio *bierne*, stanowisko pierwszéj warstwy pracowników, które zarazem tak zgodne z bezpośrednim także i *biernym* stanem ziemiańskim, najlepiéj do niego przypadnie.

Charakter ten jak w życiu rólniczém, tak w niniejszym zakresie literackiego pracownictwa, *główną*, bo ogólnie dostępną stanowiłby stronę. Ale wydobywając surowy tylko materyał rodzimy, aby, nie przerobiony, wyżéj stojącym nad sobą pracownikom podać, nie odnosi się wszakże żadnego zeń jeszcze bezpośredniego pożytku. Pośrednio tylko służyć on powinien niby ku wzajemnéj wymianie intellektualnéj, za wyższe, z uczonego świata dostarczane nam płody.

Atoli jak w *biernéym* życiu rólniczém zaczyna już przebłyskać reflekcyjny przemysł, tak w powyższy zakres *biernego* pracownictwa literackiego wchodzić oraz musi i moment *czynny*. Tu się przerabiać, assymilować, w życie rozbiegać powinny absorbowane z góry żywioły duchowne; już to przez dobrze, a względnie do stanowiska zorganizowane czytelnie, już też przez *czynne* reflektowanie odbieranéj z wyższych sfer oświaty; i bierni pracownicy téj warstwy jak ukryte w pomroku skarby wynosili na światło ku podniosłym sferom, tak *czynnie*, w odwrotnym kierunku, stać się niejako powinni kanałem, którymby górna oświata przelewała się w nadolne warstwy społeczne; albo jakoby miesięcznym, pożyczonym od słońca blaskiem winni poświecać zacienionéj połowie społecznego ciała.

Z rozpoznania tego ważnego stanowiska, oraz z należytego rozwinięcia się we właściwym

téj sfery charakterze intellektualnym, wynikłaby przedewszystkiem potrzeba: opatrzenia środków ku oświecaniu niższéj warstwy, ludu, a mianowicie wzięcia pod swoję pieczę literatury elementarnéj. Z upadkiem bowiem naszéj komissyi edukacyjnéj i towarzystwa do ksiąg elementarnych, wszystkie książeczki polskie przeznaczone dla niższéj instrukcyi, są albo nędznie z niemieckiego (u nas) tłumaczone, albo niedbale z dawniejszych wybierane. A choć się zjawi nowa tego rodzaju książka, to najczęściéj licha a droga, bo wydana tylko ze spekulacyi pieniężnéj księgarza i pismaka, jak n. p. wiele t. p. tuzinkowych publikacyi Korna. Niema zaś nikogo, z gorliwych o dobro ludu naszego, ktoby się zechciał tak podrzędnemu *niby* autorstwu poświęcić, albo pojawiające się książki elementarne przeczytać, ocenić i najlepsze rozmnożyć taniem wydaniem. Temu zaś ważnemu niedostatkowi zaradzić, któż lepiéjby zdołał, ażali nie takie, między ziemianami zawiązane grono literackie?! Nasi oświeceńsi posiedziciele ziemscy i księża, odbierając wyższą naukę, a zarazem w bezpośredniéj, najbliższéj do ludu zostając styczności, zaiste snadniéj od kogokolwiek podjąćby mogli tak zaszczytną pracę. Nikt lepiéj nad nich nie może znać życia i moralności potrzeb naszego ludu, również nikt do jego serca i duszy łatwiejszego niewie przystępu, jak ci, co pod wpływem jednakich z nim żywiołów żyją. Jeśliby zaś taki zawód autorski zdawał się komu za skromny, — to właśnie w dzisiejszym czasie, kiedy już słuszną wartość ludu uznawać zaczęto, każdy co się dla ludu, dla najliczniejszéj, a dotąd tak sromotnie zaniedbywanéj części narodu, zasłuży, godzien będzie zapewne czci i powszechniejszéj wdzięczności, nad wielu nawet uczeńszych a niepopularnych pisarzy.

Zanimby zaś rozszerzona działalność całego stowarzyszenia takiego, wywołała potrzebę osobnego pisma, wszelkie na skromnych jego ścieżkach zbierane owoce, możnaby do leszeńskiego Przyjaciela ludu, jako najodpowiedniejszego w takim względzie pisma, oddawać; albo raz po raz przyłączać w literackim dodatku do naszego Przewodnika rólniczo-przemysłowego; co téż bynajmniéj nie zdawałoby nam się być sprzecznem połączeniem obcych z sobą materyj; bo kiedy do Gazet politycznych dołączają literaturę, toć do pisma *rólniczo-przemysłowego*, dodatek literacki téj barwy, jakąśmy wyżéj naznaczyli, tém właściwiéj jeszcze przypadnie; albowiem oddział intellektualny, swym wyżéj wytkniętym zawodem *biernym* w literaturze, zgodnieby stanął obok *biernego* charakteru sfery ziemiańskiéj; a strona *czynna*, z wyższéj sfery intellektualnéj w zakres literackiego oddziału spłynąć mająca, przystawałaby zgodnie do *przemysłu*, który z reflekcyjnéj sfery stoczył się tak samo w bierny, rólniczy obręb tego pisma.

E. B.

Relacya o wzięciu zamku malborskiego, r. 1626. die 18. Julii, od księdza Jana Visnensi, Societatis Jesu, opisana.

(Z współczesnego rękopismu.)

Dla wielu różnych a niepewnych wieści i niedowodnego udania po wszystkiéj Polsce, jakimby sposobem Gustaw zamek malborski wziął, zabiegając omyłkom i błędom w językach ludzkich, którémi Majestat boski urazić mogą, umyśliłem relacyą stateczną uczynić rzeczy, na którą, usługując potrzebom dusz ludzkich w zamku czasu niebezpiecznego, podczas szturmu, pilno patrzałem, mając i czas i serce na takie niebezpieczeństwo przygotowane. A tę ralacyą piszę, sumieniem kapłańskiém i zakonném pieczętując.

14. Julii, we wtorek, Elbląg Gustaw wziąwszy, opatrzył załogą. 16. Julii w siedm tysięcy pod Malborg podciągnął i zaraz szaniec rzucił w rogu zamku nad Nogatem, miasta nic nie infestując. Pan Sosnowski, jako tego zamku Economus, i z Panem Podstarościm, który tego zamku miał dowództwo i piechoty zwyczajnéj, działa wytoczyć z ceukhauzu na wał kazali, a drobniejszą armatę nad Nogat i na zamek wysoki od miasta wytoczono. 17go w piątek, gdy już mrok ziemię okrywał, Gustaw nad przykop trębacza swego przysłał, aby się pytał: czy się chcą bronić, czy poddadź. Gdy drudzy deliberowali, Pan Pęczławski odpowiedział: J. Król. Mości, Panu naszemu, przysięgliśmy, i do ostatniéj kropli krwi bronić się jesteśmy gotowi. Potém trębacz odjechał do szańców, a po godzinie Gustaw kapitany nad okopy malborskie nasłał, i nas nastraszając, nocnego pokoju ujmował. Może i to być, że jako rycerz sam nad okopami był, ale rozeznać trudno było dla mroku ciemnego. Z miasta noszono coś do jego szańców, ale coby, tego twierdzić nie mogę, bo rozeznać noc niedopuściła. Powiadają, że i w nocy Szwedowie w mieście byli, ale i to niepewna. 18. Julii, to jest: w sobotę rano o trzeciéj godzinie po północy, wyprowadził Gustaw wojsko ku zamkowi od Elbląga z szańców, położył sześć pułków od cegielni, to jest, od żuławy małéj, a jeden od Nogatu nad szańcami za wieżą modrą, i szturmował aż do ósméj na półzegarze, na stajanie od okopu stanąwszy. Pan Pęczławski, chociaż nie on zamkiem rządził, ani zamkową piechotą, wszakże swoję piechotę, któréj miał dwieście, ochotnie rozrządził, posłał 50 za most do fortecy, na wysoki zamek 50 od miasta, a 100 na wały wyprowadził, kędy działa ku szturmowi były zasadzone. Pan Podstarości 60 piechoty

zamkowéj pod Nogat posłał, a 100 na wały i baszty wystawił. O godzinie 7. podczas szturmu przyszło piechoty coś nad 100, miasto Niemców, Rusi, co ich na szkutach pobrano i ołowiu przy nich coś, słyszałem, dodano. Tym, gdy szturmowano, muszkiety rozdawano, a kul dziesięć ulano, i między nich rzucono. Prochu téż dodawano, ale że na prędce wydając, sami się prochem zapalili. Tych postawiono ku szańcowemu pułkowi; strzelali nasi potężnie od trzeciéj godziny aż do dziewiątéj i zrażali Szwedów jako mogli. O dziewiątéj godzinie obaczywszy, że nieprzyjaciela z drugimi pułkami do miasta puszczono wolno, skoczą nasi na wysoki zamek odpierać ich od miasta, ale trudno, zaraz się pokryli po domach i naszych z wałów, z bramy miejskiéj piaskowéj i z domów miejskich odpędzili od strzelby; tam piechoty pięć na śmierć padło, a pięć postrzelonych zostało. Przed Gustawem w miasto wjechał burmistrz Pheninus, a dobosze przed burmistrzem, potém pułki szły. Nasi potężnie z dział do nich strzelając, dobosza przez poły zabili i burmistrzowi urwała kula sztukę płaszcza. Gustaw się umknął. Gdy wszedł do miasta wpół do dziewiątéj po południu, zamek się bronił, że już począł Gustaw w mieście szańce rzucać. Nasi odstrzelani od dział na wałach, poczęli z zamku wysokiego potężnie z hakownic i śmigownic strzelać i bronili ulic, aby się pod zamek niekupili, ale wkradli się pod bramę zamkową, gdy drudzy zabawiali naszych od rynku. Wtém piechota z fortecy nad mostem uciekała. Szwedowie onę opanowawszy, nikomu z niéj na podwórzu w zamku ukazać się nie dali. Bramę z zamkiem potężnie wyłamali; i już chorągwie na zamku niższym się pokazały. Marszałek na niższy zamek wjechał; ja to obaczywszy skoczę, a za mną Pan Pęczławski, chcemy dziedziniec zawrzeć, ale wzwodu nienaprawiono, bo dopiero w sobotę, gdy już szturmowano, robiono koło niego, a nas obaczywszy Marszałek Gustawa, krzyknie po łacinie: *Qui non vult perire, deponat arma.* Piechota za Panem Pęczławskim skoczyła, a zrozumiawszy od drugich, co Marszałek mówił, muszkiety rzuciła i szable od niéj odbierano. Kazano nam stanąć pod mielcuchem, a piechota szwedzka się sypała i weszło ich do 7,000, a gdy weszli koło uczynili na występie i do zamku wysokiego gromadnie weszli. Nas wszystkich do Cornusa wprowadzono; tam pod strażą siedzieliśmy. Gustaw 19. Julii, w niedzielę o dziesiątéj, wjechał, nas wyprowadzonych z Cornusa pochwalił, że z małą garścią tak mężnie się broniliśmy; chciał potém, aby piechota pozostała do niego przystała i zostawił ich sobie kilkudziesiąt. Pana Pęczławskiego chciał na służbę pociągnąć, postępując na ćwierć po 400 Talerów, ale on statecznie wymówił się przysięgą Królowi, Panu swemu, i tam nam obiecał wolność, którą nam dał nazajutrz 20. Julii.

Kronika literacka.

Pielgrzymka do Ziemi-Świętéj, X. Hołowińskiego.

(Dalszy ciąg.)

Do czego nie doprowadzi człeka exaltacya żywa, ale źle skierowana, nieoświecona nauką i znajomością rzeczy! Widząc, co się jeszcze dzieje w niektórych zakątkach świata, łatwo pojmujemy, jak bez fałszu i kuglarstwa, ludzie oślepieni obłędem, oddawali Pagodom, i pozorom cnót, cześć winną samemu tylko Bóstwu, i cnocie!

Pomiędzy innymi zajmującymi szczegółami, które uszły uwagi autora (niepodobno, aby jeden wszystkie mógł zebrać!) jest jeszcze jeden także dosyć ciekawy, a cechujący głupotę, i ślepe posłuszeństwo religijne Mahometanów. Konstantynopol, (jak wspomina autor,) jest siedzibą licznych psich pokoleń. Dobroczynność Turków, żywi te istoty, rządzące się zupełnie w tym kraju, patryarchalnemi prawami. Za Sułtana Mustafy II., (czy 1go) okropna Dżuma przerzedzała mieszkańców Konstantynopola i całéj europejskiéj Turcyi.

Ponieważ spostrzeżono, że psy roznosząc po ulicach szczątki odzieży, przyczyniały się znacznie do upowszechniania zarazy, Sułtan idąc za radą jednego z lekarzy, wydał rozkaz, ażeby (dla oczyszczenia miasta i kraju), wyrznięto i zakopano głęboko wszystkie psy, w Turcyi europejskiéj osiadłe. Lecz Wielki Mufti Islamu stawił się przed Sułtanem na czele duchowieństwa, i dowiódłszy na mocy podań religijnych, które gdzieś odkrył: „*że psy mają duszę*,“ wstrzymał rozkaz Sułtana, a swoje odkrycie (prawdziwie *psychologiczne*), ogłosić kazał mieszkańcom, mającym od tych czas te zwierzęta jeszcze w większém poszanowaniu (1).

To nam przywodzi na myśl, że w Damaszku, za panowania Kalifa Jessida, który raz przez dziwactwo przebrał swoję ulubioną Sułtankę Hubebachę i kazał jéj w zastępstwie swoim odczytać z mównicy meczetu wieczorne modlitwy, — prawowierni Muzułmanie odkrywszy podejście, tak się oburzyli, że kapłani dla ich uśmierzenia musieli się długo między sobą naradzać nad tém, czy kobieta (ta kość z kości naszych!), czy kobieta ma duszę? (2). Ostatecznie nie rozwiązali oni téj kwestyi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

(1) Geelen przytacza tę anekdotę.
(2) Historyk de Marigni w IIgim tomie dzieła swego.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: J. Łukaszewicz.)